ANDRZEJ PAWEŁ WEJLAND
Uniwersytet Łódzki
Wydział Filozoficzno-Historyczny
Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej

O DEFINIOWANIU W HUMANISTYCE – MIĘDZY RETORYKĄ A ETYKĄ

*Marysi, której troska o słowo w nauce,
była zawsze troską moralną*

1

Ujmując definicję jako akt wprowadzania nowych wyrażeń do dyskursu i dostrzegając swoiste dopasowywanie się dyskursu do jej ustaleń, Gabriel Falkenberg stwierdza:

Podstawową intencją w wypadku definicji jest intencja używania od tego momentu konkretnego wyrażenia w znaczeniu sprecyzowanym w definiensie. Zatem, jeśli osoba definiująca faktycznie nie będzie używać tego wyrażenia w znaczeniu zapowiedzianym przez siebie, oskarżymy ją o niestosowanie się do swojej wcześniejszej deklaracji woli, tzn. o niekonsekwencję¹.

Jak rozpoznać w dyskursie intencję definiowania? Objaśniającą rolę pełni w tym względzie uroczyste wyrażenie „na mocy definicji” (i jego łaciński odpowiednik „*ex definitione*”), a także wszelkie zwroty zapewniające o definiowaniu, na przykład „pragnę podać teraz następującą definicję”, „zgodnie z przyjętą przeze mnie definicją”, „sformułowana przeze mnie definicja głosi” itp. W piśmie rolę tę przejąć może poprzedzający wypowiedź napis „definicja” bądź jakiś jego skrót, podobnie – rzadziej jednak przez swoje skróty zastępowany – napis „eksplikacja”. Niektórzy, w tym humaniści,

¹ G. Falkenberg, *Definicja i eksplikacja: Dwa rodzaje analizy językoznawczej*, tłum. P. Krzyżanowski, [w:] *O definicjach i definiowaniu*, pod red. J. Bartmińskiego, R. Tokarskiego, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1993, s. 64 (wyróżnienie w oryginale).

stosują widoczny znak równości, jako poświadczający równoznaczność członów definicji bądź eksplikacji, znak pojawiający się więc nie tylko ze względu na wygodną graficzną konwencję.

Nie sprawia kłopotu dostrzeżenie, iż definicje w sensie obranym przez Falkenberga są z logicznego punktu widzenia definicjami projektującymi: konstrukcyjnymi czy też regulującymi. Sprawozdawczy charakter mają natomiast – tak jak chce on je rozumieć – eksplikacje. Ale i one czasem wymagają przecież tego, by się ich w dyskursie trzymać jako pewnych wyjściowych ustaleń. Zdając w zwyczajowym przeglądzie literatury jedynie sprawę z tego, jakie znaczenia terminu „mit” zastaliśmy lub zwłaszcza, w jakich wcześniejszych definicjach zostały one ujęte, możemy oczywiście nie wiązać z nimi żadnych deklaracji prócz tej, że dołożyliśmy wszelkich starań, by wiernie odtworzyć owe znaczenia i zachować sens nadany terminowi „mit” w już istniejących definicjach. Rzecz jednak wygląda inaczej, gdy definicji sprawozdawczych – ustalonych na początku – chcemy się trzymać też dalej, przynajmniej przez jakiś czas, na przykład w obrębie danego rozdziału własnego tekstu. Stawiamy wówczas przy nich stempel „przyjmuję”, jak choćby w sytuacji podchwycenia sensu, jaki terminowi „mit” nadał ktoś przed nami. Kiedy zatem mówię: „Słowo «mit» będę tutaj rozumiał tak, jak rozumiał je Alasdair MacIntyre, to znaczy będzie ono dla mnie (jak dla niego) znaczyło...”, to zapowiadam stosowanie się do podanej przez siebie definicji sprawozdawczej. O niekonsekwencję oskarży mnie zatem każdy, kto dostrzeże, że tak naprawdę zamiast – jak MacIntyre – twierdzić, iż mit „nie może być prawdziwy lub fałszywy”, traktuję go jak poddającą się falsyfikacji hipotezę lub opis historyczny². Oskarży mnie o to, jeśli tylko uzna, że swój stempel postawiłem przy definicji MacIntyre’a na poważnie, że tę definicję od niego przejąłem z myślą, by się do niej stosować. Nie była więc ona jedynie definicją użytą dla przykładu, na niby ani dla żartu, nie tylko więc (pośród innych) została przeze mnie wymieniona, lecz właśnie (jako bardziej mi od innych odpowiadająca) przyjęta do dalszego używania.

Oskarżenie czy bodaj tylko posądzenie o niekonsekwencję nie ominie zapewne i tych, którzy nie przedstawiają definicji w formie kanonicznej, czyli oczekiwanej przez logikę (a zwłaszcza jej podręczniki), i którzy swoją

² Fragmenty z MacIntyre’a podaję za: I. G. Barbour, *Mity, modele, paradygmaty. Studium porównawcze nauk przyrodniczych i religii*, tłum. M. Krośniak, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1984, s. 36.

deklarację stosowania danego wyrażenia w zapowiedzianym znaczeniu przezornie osłabiają. W istocie, często z tego punktu widzenia pospieszne – przedwczesne i na wyrost (bo i poddane użyciu słowa „definicja” w języku potocznym) – jest nazywanie definicją zaledwie przybliżającej próby objaśnienia, co jest czym lub co znaczy dany termin. Niektórzy autorzy słusznie się w takich razach nie spieszą i to, co akurat przedstawiają, wolą nazywać właśnie próbą definicji lub definicją próbną. Czyni tak choćby Urszula Żydek-Bednarczuk, gdy cały paragraf swej książki tytułuje: „Rozmowa – próba definicji”³. Stosowane też bywają rozmaite dookreślenia: „prowizoryczna” lub „tymczasowa”, „wstępna” lub „wyjściowa”. To ostatnie zwłaszcza jest interesujące, gdyż używając go wobec swej próby określenia znaczenia terminu „pole semantyczne”, Eugeniusz Grodziński wyjaśnia:

Najtrafniejszą definicją wyjściową terminu *pole semantyczne* wydaje się nam twierdzenie głoszące, iż do tego samego pola semantycznego należą wyrazy, za których pomocą opisujemy ten sam aspekt rzeczywistości pozajęzykowej. Wyrazy, których używamy do opisu innego aspektu rzeczywistości, należą do innego pola semantycznego. Ze względu jednak na znaczną płynność i nieostrość samego pojęcia *ten sam aspekt rzeczywistości* uważamy zaproponowaną przez nas definicję jedynie za wskazówkę do dalszych poszukiwań. Dlatego nazwaliśmy ją *definicją wyjściową*⁴.

Mówi się również niejednokrotnie w podobnych sytuacjach o tym, że mamy do czynienia ze szkicem definicji, albo jedynie z jej zarysem, konstrukcją ramową albo szkieletową itp. Może się zdarzyć – i zdarza się bardzo często – że jako definicję wyjściową przy tworzeniu definicji projektującej bądź regulującej traktuje się definicję sprawozdawczą, mającą odzwierciedlać rozumienie danego terminu na przykład przez jakiegoś autora, zwłaszcza „klasyka”. Tę definicję uznaje się wtedy zwykle za niezadowalającą, a zatem do poprawki lub wymiany. Żyjący w XII wieku Elred z Rievaulx w swojej rozprawce o przyjaźni za wyjściową dla własnej, lepszej definicji przyjął definicję podaną przez Cyncerona (a właściwie – jako sprawozdanie – jej wersję nieco uproszczoną w stosunku do brzmienia oryginalnego, na co zwraca uwagę w przypisie polski tłumacz), z następującym wszakże komentarzem:

³ U. Żydek-Bednarczuk, *Struktura tekstu rozmowy potocznej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 1994, s. 30–33.

⁴ E. Grodziński, *Zarys teorii nonsensu*, Ossolineum, Wrocław 1981, s. 44.

Nasze dalsze rozważania wykażą, czy definicja ta ma jakieś braki, czy też jest zbyt ogólna, abyśmy mogli ją odrzucić lub przyjąć za wystarczającą, niczego więcej do niej nie dodając. Na razie sama definicja, choćbyś uważał ją za niedoskonałą, pomoże ci mniej więcej zrozumieć, czym jest przyjaźń⁵.

Te wstępne, próbne i prowizoryczne definicje są na dodatek często wtopione w szerszy kontekst, nie mają wyraźnych – jak to się fachowo określa – znaków delimitacji, czyli znaków (językowych wskaźników) początku i końca, płynnie przechodzą w komentarze bliższe i dalsze, rozbudowują się do kilku dłuższych zdań, a nawet – jak na przykład u wspomnianej przed chwilą Urszuli Żydek-Bednarczuk – do wielu stron tekstu. Tak czy owak trzymanie się definicji próbnych i prowizorycznych, szczególnie zaś tych uznanych za wyjściowe, bardziej, jak sądzę, przypomina (rzeczywiste lub służące po prostu dydaktyce) trzymanie się szkicowej mapy i tylko w przybliżeniu wytyczonego na niej kierunku niż poruszanie się w przestrzeni badawczej wędrówki z pojęciem już gotowym, sztywno z góry ustalonym i zamkniętym na jej przygody. Ale – powiedziałaby tu zapewne Falkenberg – w dyskursie wypada się trzymać, przynajmniej przez okres wstępnej próby, również takich definicji: tych dających (nam samym lub innym) jedynie ramowe wskazówki, wyrażających wszak ledwie w zarysie nasze pojęciowe intuicje. U Anny Krawczyk-Tyrpy definicja jest tekstowo wyodrębniona, lecz za to dopełniona obszernymi komentarzami:

Jak najkrócej zdefiniować interesujący nas termin? Proponuję: **Tabu językowe jest to społecznie usankcjonowany zakaz mówienia o czymś lub wypowiadania pewnych wyrazów**⁶.

Zauważmy najpierw, że wbrew sugestii słowa „proponuję”, mamy przed sobą definicję sprawozdawczą albo co najwyżej regulującą, ale przynajmniej wyraźnie oddzieloną od dopisków i objaśnień: „Elementy tej definicji – czytamy zaraz potem – wymagają paru słów komentarza”⁷. Tych „parę słów” to jednak ładnych parę akapitów, uzupełnionych istotną dla rozważań tabelką przedstawiającą warianty powiązania „czynnika społecznego

⁵ Elred z Rievaulx, *Przyjaźń duchowa*, tłum. M. Wylęgała OP, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2003, s. 20.

⁶ A. Krawczyk-Tyrpa, *Tabu w dialektach polskich*, Wydawnictwo Akademii Bydgoskiej im. Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2001, s. 14 (wyróżnienie w oryginale).

⁷ Tamże.

z tabu językowym”⁸. Przy okazji zwróćmy też uwagę na wyrażenie „najkrócej”, które prawdopodobnie ujawnia chęć zwięzłego zapisu definicji, odpowiadającego jak najlepiej postaci kanonicznej, oczekiwanej (czy też chętnie widzianej) przez podręczniki logiki. Podobnie – u innych autorów – działać ma chyba zapewnienie, że coś „można zdefiniować ogólnie (lub najogólniej mówiąc) jako...”⁹ lub że przyjęta definicja jest „zwyczajną zwięzłą definicją”¹⁰. Zdarza się wszak, iż to, co ma uchodzić za „ogólną” i „prostą” definicję, jest w istocie kompozycją dwóch, i to różnych definicji tego samego terminu – jednej węższej, a drugiej obszerniejszej. U Ernsta Bernheima tak skomponowaną wypowiedź, z deklaracji mającą być pojedynczą definicją źródeł, odnalazł przed laty Jerzy Giedymin¹¹. Bywa i tak, że „ogólne” i „proste” definicje, jako najzwyczajniej w świecie niechlujne lub nadmiernie skrótowe, przejmujące kiepską stylistykę innych (ponoć „wzorcowych”) definicji, zniechęcają do pytań o konsekwencję w trzymaniu się ich jako ustaleń wyjściowych. O stosowanie bądź niestosowanie się do nich może w ogóle nie warto kruszyć kopii? Najlepiej by było, gdyby zwłaszcza adept w dyskursie naukowym na takie niechlujne definicje nigdy nie trafiał, ekspert zaś nie musiał się nigdy z nimi zmagać (i sam ich, oczywiście, nigdy nie popełniał). Dość jest przecież w naukowych wspólnotach sporów o całkiem dobre i schludne definicje.

2

Spojrzenie na definiowanie jako na pewien akt dyskursywny pozwala Falkenbergowi uznać, że jest ono blisko spokrewnione „ze szczególną obietnicą; jest to obietnica używania od tego momentu danego wyrażenia w ustalony sposób”¹². Píše też jeszcze:

⁸ Tamże, s. 15.

⁹ Píše choćby Ryszard Tokarski: „Językowy obraz świata, najogólniej mówiąc, to zbiór prawidłowości...”, co podają za: R. Grzegorzczkova, *Wprowadzenie do semantyki językoznawczej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 163.

¹⁰ Znajduję to wyrażenie we fragmencie tekstu przytoczonego przez Ernesta Gellnera w jego pracy *Pojęcie pokrewieństwa i inne szkice o metodzie i wyjaśnianiu antropologicznym*, tłum. A. Bydłoń, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 1995, s. 247.

¹¹ J. Giedymin, *Językowe problemy klasyfikacji źródeł historycznych*, [w:] *Logiczna teoria nauki. Wybór artykułów*, pod red. T. Pawłowskiego, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1966, s. 584; por. także komentarz do tej definicji podany przez Jerzego Topolskiego w dziele *Teoria wiedzy historycznej*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1983, s. 255–256.

¹² G. Falkenberg, *dz. cyt.*, s. 64.

Poprzez ten akt człowiek zobowiązuje się swoją dobrowolną decyzją do pewnych ograniczeń. Definiujący świadomie ogranicza swoje przyszłe opcje w dyskursie¹³.

Obietnica, o którą tu chodzi, jest tedy obietnicą składaną przez tego, kto definicję wprowadza, jest jego świadomym zobowiązaniem do pewnych ograniczeń – do tego, że w dyskursie (a przynajmniej w jego wyraźnie wydzielonej części) będzie odtąd używał danego wyrażenia w tym a tym tylko, określonym przez siebie znaczeniu, i że dane pojęcie będzie wiązał jedynie z tą a nie inną nazwą. Zobowiązanie samego siebie poprzez wprowadzaną definicję kieruje w ten sposób dyskurs ku pewnej „oszczędności pojęciowej”, może więc być objawem swoistego „językowego ascetyzmu”¹⁴. Szczegółność obietnicy, jaką jest akt definiowania, nie wynika – co ciekawe – z jawnego użycia w dyskursie performatywu „obiecuję”. Obietnica jest tu bowiem składana niejawnie, jest z tego punktu widzenia zobowiązaniem niewyraźnym – różnym od tych, które są w pełni rozwiniętymi obietnicami. Tym bardziej dotyczą jej takie choćby pytania: Czy dyskurs naukowy w humanistyce rzeczywiście takiej obietnicy się domaga? Czy domaga się na przykład dlatego, że ci, do których moją definicję adresuję, oczekują (bo chcą i potrzebują), że po jej wprowadzeniu będę się jej dalej konsekwentnie trzymał? Czy zatem w dyskursie takim definicje zawsze uchodzą za podjęcie zobowiązania? Jeśli tak, to czy obietnica składana definicją jest zobowiązaniem bezwarunkowym, czy też jest (lub bywa) zobowiązaniem słabym, ograniczającym się do warunków sprzyjających, dopuszczającym przeto – gdyby takie warunki nie zaszły – niespełnienie? Wszelka wypowiedź jako akt dyskursywny kryje w sobie, zgodnie z Johnem L. Austinem, szczególne zobowiązanie tego, kto ją wygłasza,

do pewnych przekonań lub intencji. Jeśli wykonawca aktu wygłasza później wypowiedź niezgodną z tymi przekonaniami lub postępuje niezgodnie z intencjami, do których jest zobligowany, to można go uznać za winnego niewierności wobec zobligowania. (...) Zobligowanie jest (...) sprawą należytego postępowania. [Nieprzestrzeganie tego, co z danego aktu wynika] jest niewiernością wobec zobligowania, zasadniczo analogiczną do złamania obietnicy¹⁵.

¹³ Tamże.

¹⁴ Tamże, s. 68.

¹⁵ J. Lyons, *Semantyka*, tom 2, tłum. A. Weinsberg, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1989, s. 333–334.

Istotne jest przy tym dostrzeżenie, iż zobligowanie nabiera charakteru moralnego jedynie pod warunkiem, że (pozytywną, dodaję dla jasności) wartością moralną (objętą określoną moralną normą) jest właśnie wierność rozumiana jako dotrzymanie obietnicy. Obietnica wszak, jaką niesie w dyskursie naukowym definicja, sama jest tylko – jak przekonuje Paul Ricoeur – regułą ustanawiającą, nie zaś moralną. Reguły ustanawiające jedynie ustalają „znaczenie” aktów mowy, jakkolwiek

naprowadzają na trop reguł moralnych, w tej mierze, w jakiej te ostatnie kierują zachowaniami mogącymi przybrać znaczenie. Ale to jest dopiero pierwszy krok w kierunku etyki. Nawet ustanawiająca reguła obietnicy (...) jako taka nie posiada znaczenia moralnego, chociaż zawiera w swoim sformułowaniu odniesienie do obowiązku; poprzestaje ona na określeniu tego, co „liczy się jako” obietnica (...). Wyłącznie reguła moralna, jaką można nazwać regułą wierności, wedle której powinno się dotrzymywać swoich obietnic, posiada status deontyczny¹⁶.

Zobowiązanie do dotrzymywania własnych obietnic, które Ricoeur nazywa regułą (zasadą) moralną, ma zawsze – w jego ujęciu – strukturę dialogiczną:

Ta dialogiczna struktura musi zresztą być zanalizowana jako struktura diadyczna lub dualna, obejmująca dwie osoby – tę, która obiecuje, i adresata obietnicy, względem którego ta pierwsza się zobowiązuje – oraz jako struktura pluralna, obejmująca ewentualnie świadka, wobec którego zobowiązanie zostaje podjęte, następnie za tym świadkiem – instytucję języka, którą zobowiązujemy się chronić, a nawet odniesienie do jakiegoś układu społecznego, w imię którego między członkami rozpatrywanego społeczeństwa może panować wzajemne zaufanie, poprzedzające wszelką obietnicę¹⁷.

W ujęciu tym, jak widać, także obietnica składana definicją, jeśli tylko ma walor moralny, działa na rzecz naukowej wspólnoty i panującego między jej członkami zaufania. Sprzyja ponadto – dla rozważań, jakie prowadzi Ricoeur, to sprawa kluczowa – zachowaniu siebie samego przez tego, kto ją składa i kto jej dochowuje,

stanowi wyzwanie rzucone czasowi, zaprzeczenie zmiany: nawet gdyby zmieniło się moje pragnienie, nawet gdybym zmienił zdanie, upodobanie, „dotrzymam”¹⁸.

¹⁶ P. Ricoeur, *O sobie samym jako innym*, tłum. B. Chelstowski, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2003, s. 256–257.

¹⁷ Tamże, s. 442.

¹⁸ Tamże, s. 205.

Obie sprawy wiążą się jednak nierozdzielnie:

Zobowiązaniu, by zachować *siebie* samego *dotrzymując* swych obietnic, grozi zakrzepnięcie w stoickiej, niezłomnej, prostej *wytrwałości*, jeśli nie jest ono wzmocnione postanowieniem, by odpowiedzieć na oczekiwanie, nawet na próbę pocho-
dzącą od drugiego człowieka¹⁹.

Gdy spełniam obietnicę, gdy więc trzymam się przyjętej definicji realizując zasadę wierności danemu słowu, potwierdzam, że wierny też jestem naukowej wspólnotie, że inni w niej mogą na mnie liczyć. Dodaje więc jeszcze Ricoeur:

To *liczyć na* łączy zachowanie siebie w jego treści moralnej z zasadą wzajemności opartą na troskliwości. Tak więc zasada wierności danemu słowu jedynie stosuje regułę wzajemności do klasy działań, w której w grę wchodzi sam język jako instytucja określająca wszystkie formy wspólnoty. Nie dotrzymać obietnicy to sprzeniewierzyć się zarazem oczekiwaniu innego i instytucji, która zapośrednicza wzajemne zaufanie mówiących podmiotów²⁰.

3

Czy nazwiemy dochowaniem wierności złożonej obietnicy trwanie przy definicji, które jest niczym innym jak powtarzającym się w dyskursie, na swój sposób wytrzymałym, acz nieprzejeżdżalnym narzucaniem jej innym? Kwalifikacja etyczna będzie tu z pewnością inna, zwłaszcza gdy uznamy, iż jest to „uparte narzucanie własnej definicji jakiegoś terminu dlatego tylko, że służy uzyskaniu przewagi w sporze”²¹. W sporze, również naukowym, trwanie przy własnych sposobach nazywania, a nawet narzucanie własnej definicji jakiejś nazwy innym, nie jest niczym nadzwyczajnym, rzadko spotykanym. Jaskrawe przykłady, po jakie się zwykle sięga, by je zilustrować i unaocznić, pozwalają ten mechanizm dyskursywny dobrze zrozumieć.

Wszak językowy akt definiowania nie jest czynnością skierowaną wyłącznie na samego definiującego; bywa także w dyskursie propozycją składaną innym – aktem perswazji lub nawet przymusu podejmowanym po to, by obowiązywała ich od tej chwili (może zresztą tylko ich, a nie tego, kto definicję sformułował) określona terminologiczna „umowa”. W akcie

¹⁹ Tamże, s. 443 (wyróżnienie w oryginale).

²⁰ Tamże, s. 445 (wyróżnienie w oryginale).

²¹ S. Blackburn, *Błąd koniecznej definicji*, tłum. M. Szczubiałka, [w:] Tegoż, *Oksfordzki słownik filozoficzny*, pod red. J. Woleńskiego, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Warszawa 1997, s. 50.

tym można stosowanie danej nazwy w ustalonym definicją znaczeniu jakby wręcz wymuszać lub nakazywać, wykazując niezbędność i samej nazwy, i jej postulowanego (lub rekonstruowanego) znaczenia. Definiowanie ujawnia tak oto swój aspekt retoryczny: służy argumentowaniu i perswazji, bo wskazuje na wybrane, odpowiadające takiej właśnie retorycznej intencji, połączenie słowa i sensu²².

Zobowiązanie innych poprzez definicję może ujawnić łagodniejszy ton retoryczny, jeśli potraktujemy je najpierw jako zaproszenie. W tym wypadku wybrany przez definiującego sposób wiązania nazwy i znaczenia nie jest ani wprost narzucany, ani podstępnie do dyskursu wtłaczany. Przedstawia się go raczej jako jeden z możliwych, choć zapewne najlepszy i najciekawszy sposób widzenia poprzez język pewnych spraw. Cały ten zabieg zatem to nic innego jak – pozwalam tu działać wygodnej metaforze – łagodne wciąganie we własny horyzont pojęciowy i we własny językowy obraz świata. Czy nie brzmi dobrze w naszych uszach takie zaproszenie – zachęta do zwiedzenia innego, cudzego świata pojęć, który odtąd może stać się również naszym światem? Gdy „zapraszającą” definicją wprowadzi się pojęcie kluczowe, pełniące dla danego horyzontu rolę idei bazowej, i gdy definicja taka przez czytelnika lub słuchacza (albo i przez całą grupę) zostanie potulnie – jako grzeczne zaproszenie – przyjęta, można nią uzyskać efekt radykalnego opanowania mowy i myślenia, podporządkowania jej poznawczym ramom całego wspólnego dyskursu.

Czym jest w końcu jednak takie, przez definicję czynione, zaproszenie? Czy nie jest lub nie bywa jakąś formą propagowania pewnej wyróżnionej i uznanej za „właściwą” perspektywy poznawczej, nawet pewnej ideologii? Pytając w tytule jednego ze swoich tekstów, „definicja – czego i dla kogo?”, nie omieszkali Jerzy Bartmiński i Ryszard Tokarski podkreślić, iż w definicjach odbić się mogą różnice „wartości, potrzeb i interesów człowieka czy grup ludzkich”. Dodali też zaraz potem, że na przykład analiza pojęcia „sprawiedliwość” ujawnia (co wykazał Chaim Perelman) trwałą obecność

²² Zagadnienie definicji perswazyjnych podjął u nas swego czasu i dogłębnie rozważył Tadeusz Pawłowski w pracach: *Tworzenie pojęć i definiowanie w naukach humanistycznych*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1978, s. 223–251, oraz *Pojęcia i metody współczesnej humanistyki*, Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1977, s. 125–150. Niekiedy, jako chwyt retoryczny, nazywa się je pseudodefinicjami retorycznymi, odróżniając je w ten sposób od definicji, „których twórcy stawiają sobie cele poznawcze” (T. Hołówka, *Kultura logiczna w przykładach*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, s. 61).

w nim „zmiennych aksjologicznych (ideologicznych)”²³. Definicjami tego i podobnych słów ich twórcy najwyraźniej wciągali w określone, takie a nie inne – jak by zapewne powiedzieli Bartmiński i Tokarski – porządkowanie czyli kategoryzowanie faktów i zjawisk w świecie, poprzez język zatem zmierzali do – za każdym razem osobliwego, lecz odpowiadającego ich intencjom retorycznym – „oswojenia” świata przez innych²⁴. Jeśli nawet przykłady, jakie się tutaj często podaje, nie pochodzą z „nauki” – rozumianej wąsko jako naukowe gabinety, fora gromadzące badaczy nastawionych na „czyste poznanie świata” – musimy mieć jasność co do tego, że definiowanie swoją retoryczną siłą objawia w nauce równie często: to, co uchodzi czasem za „neutralne” postulaty terminologiczne, w gruncie rzeczy okazuje się – bo inaczej być nie może, powie hermeneuta – głęboko zanurzone w przedrozumienie, uwikłane więc również w potoczne widzenie świata, zabarwione albo i (tak wciąż niektórzy mówią) „skażone” aksjologią, ideologią, etyką.

W pewnych sytuacjach przez definicję czynione zaproszenie jest już wobec tego nie tylko stworzeniem nowego związku słowa i przypisywanego mu sensu, ale także „kreowaniem rzeczywistości”. Bo, jak na to – w duchu łagodnie konstruktywistycznym – wskazuje Mirosława Marody:

rzeczywistość społeczna składa się nie tylko z obiektów „perceptualnych”, doświadczanych bezpośrednio i dających się wyodrębnić w sposób ostensywny. W jej skład wchodzi również obiekty pojęciowe takie, które swą „przedmiotowość” zyskują przez to, iż istnieje słowo wiążące aspekty otaczającego nas świata w pojęcie pozwalające na traktowanie tych różnych aspektów jako jednej „rzeczy”. (...) najprostszym sposobem wykreowania jakiegoś obiektu pojęciowego jest stworzenie nowego terminu, któremu podporządkowane zostają określone aspekty rzeczywistości. Z tą „metodą” kreacji mamy do czynienia przede wszystkim w nauce, co prawdopodobnie związane jest pośrednio z przekonaniem, że zadaniem nauki jest *odkrywanie* faktów, zjawisk czy obiektów. I rzeczywiście można powiedzieć, że często wraz z nowym terminem w otaczającym nas świecie pojawia się to, co uprzednio było „zakryte”, i tym samym niedostępne ludzkiemu postrzeganiu. O kreacyjnej roli języka możemy tu mówić zarówno w przypadku obiektów pojęciowych takich np. jak „stereotyp”, „nieświadomość”, „kody językowe” itp., jak i w przypadku obiektów materialnych, lecz niedostępnych bezpośrednio naszym zmysłom jak np. „witaminy”, „geny”, „bakterie” itp. pojęcia nauk przyrodniczych.

²³ J. Bartmiński, R. Tokarski, *Definicja semantyczna: CZEGO i DLA KOGO?*, [w:] *O definicjach i definiowaniu*, pod red. tychże, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1993, s. 51.

²⁴ Tamże, s. 54.

W naukach społecznych znacznie częściej chyba zdarza się jednak, iż nowemu słowu nie towarzyszy „ujawnienie się” zupełnie nowych, uprzednio nie dostrzeganych zbiorów desygnatów. (...) Czy jednak można powiedzieć, że (...) zmiana terminologii rzeczywiście nic nie zmienia w otaczającym nas świecie? Skoro kształt postrzeganej rzeczywistości zależy nie tylko od materialnych, doświadczanych bezpośrednio cech tej rzeczywistości, lecz również od naszej wiedzy o niej, wiedzy konstruowanej językowo, to stwierdzić należy, iż każda zmiana w opisie, nawet jeśli nie towarzyszy jej ujawnienie nowego zbioru desygnatów, kreuje jednak nową, odmienną rzeczywistość²⁵.

4

Z nietraktowaniem definicji jako obietnicy i nieodczuwaniem potrzeby dochowania jej wierności wiązać się mogą również inne zabiegi retoryczne stosowane w dyskursie. Spośród nich uwagę moją zwracają teraz rozmaite, często niepozorne i prawie niedostrzegalne przeformułowania jakiejś idei, zwłaszcza zaś redefinicje.

Redefinicja to nic innego jak ponowne zdefiniowanie jakiegoś terminu. Rzecz w tym, że poprzednią definicję lub poprzedni, nieoparty na definicji, lecz oczywisty dla wszystkich, sposób rozumienia tego terminu, trzeba przedtem uznać za nietrafny lub niesłuszny, krótko mówiąc, za nienadający się do dalszego używania. Intencja zredefiniowania może być co prawda przedstawiona wówczas wprost, lecz zazwyczaj redefiniowanie – właśnie jako zabieg retoryczny – następuje bez uprzedzenia i z zaskoczenia, może i tak nawet, by nie było (lub przynajmniej nie było od razu), szczególnie dla przeciwnika w sporze, widoczne.

Redefinicja przesuwaa granice sensu do obszaru „właściwego”. Najlepiej to widać, gdy wprost użyte jest w niej wyrażenie typu: „*N* w sensie (znaczeniu) właściwym to...”, na przykład: „Patriotyzm we właściwym sensie tego słowa oznacza...” albo „Mit, jeśli wziąć pod uwagę właściwe dla antropologii znaczenie tego terminu, to...”. Wyrażenie „we właściwym sensie (znaczeniu)” bywa czasem zastępowane – dla elegancji, z językowego przyzwyczajenia lub ze snobizmu – wyrażeniem łacińskim „*sensu proprio*”. Ale i bez użycia słowa „właściwy” można również naprowadzać na „właściwe tropy”.

²⁵ M. Marody, *Technologie intelektu. Językowe determinanty wiedzy potocznej i ludzkiego działania*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1987, s. 251–253 (wyróżnienie w oryginale).

Perswazyjny charakter mają więc i te sposoby definiowania, w których próbuje się sens (znaczenie) terminu zawężać, i te, którymi usiłuje się go rozszerzać, stosując wyrażenia takie jak „w ścisłym (wąskim) sensie” (czyli „*sensu stricto*”) albo „w luźnym (szerokim) sensie” (czyli „*sensu largo*”).

Ponieważ redefinicja wiąże się niekiedy z unieważnieniem definicji wyraźnie sformułowanej wcześniej, może być – co do intencji retorycznej – przyrównana do wszelkich zabiegów unieważniających, w szczególności do zabiegów dyskursywnych nazwanych przez Marka Czyżewskiego, Kingę Dunin i Andrzeja Piotrowskiego sepizacją. Sepizacja to wszelka praktyka unieważniania czegoś w dyskursie, na przykład traktowanie sprawy „w taki sposób, że uznaje się ją za nieważną z własnego punktu widzenia”²⁶, to zatem każdy zabieg, procedura czy trik mający powodować utratę ważności w dyskursie cudzych (ale i własnych kiedyś przyjętych, choćby przed naukowym nawróceniem) idei, koncepcji czy teorii, także pytań stawianych jako problemy badawcze. Sepizacji towarzyszy kontrsepizacja, czyli „nadanie ważności sprawom innym”, własnym (lub za własne teraz uznawanym), towarzyszy jej zatem również – tutaj tak istotny – kontrsepizujący zabieg redefiniowania.

Prócz redefinicji wprowadzanych do dyskursu świadomie, stosowanych z rozmysłem, występują w nim oczywiście również nieświadome zabiegi redefinicyjne. O nich myślał głównie Paul Edwards, gdy – wprowadzając ten termin i analizując redefinicje zawężające (zacieśniające kryteria stosowalności danego terminu) bądź poszerzające (rozluźniające te kryteria) – utrzymywał, „że spory filozoficzne, np. czy pewien proces powstawania przekonań można uznać za racjonalny, paraliżowane są przez nieświadome zabiegi redefinicyjne, dokonywane na kluczowych terminach”²⁷. Badaczy nieświadomych tego, że bezwiednie przechodzą od jednego znaczenia terminu do drugiego, nie posądzimy tutaj co prawda o nieprzypadkowe, celowe chwytły retoryczne, odmówimy im jednak być może językowej czujności i metodologicznego wyrafinowania, czy wręcz – łatwiej to z pewnością powiedzieć o adeptach niż wybitnych ekspertach – obycia w naukowym dyskursie.

²⁶ M. Czyżewski, K. Dunin, A. Piotrowski, *Cudze problemy czyli wstęp do sepologii*, [w:] *Cudze problemy. O ważności tego, co nieważne. Analiza dyskursu publicznego w Polsce*, pod red. tychże, Ośrodek Badań Społecznych, Warszawa 1991, s. 7.

²⁷ S. Blackburn, *Redefinicja zawężająca/poszerzająca*, tłum. P. Dziliński, [w:] tegoż, *dz. cyt.*, s. 340.

5

Definicje, tak to zwykle bywa, dumnie prężą się na pierwszych stronach tekstu, dalej jednak – tak bywa również – nie są przez samych autorów dotrzymywane jako „obietnice” czy przestrzegane jako „zobowiązania”. Na to, iż w takich wypadkach definicje mają, by tak rzec, charakter „rytualny” (pojawiają się, bo „tak się robi”, bo tak wypada, bo w tekście „naukowym” pole rozważań należy na samym początku oczyścić i rozjaśnić) i że badacze (nawet ci metodologicznie rozgarnięci) nader często je ignorują (gdy rozpędzają myśli, zwłaszcza w polemicznym wywodzie), zwrócił uwagę dawno temu Edmund Mokrzycki²⁸.

Tym, co irytowało go najbardziej (wystawiam to po swojemu, rozwijając i nieco ubarwiając jego zwięzły wywód), było obieranie w „rytuale definiowania” znaczeń „oficjalnych”, a więc takich, które wspólnota dyskursu bez mała uroczyście nadawała danym słowom i wyrażeniom, trochę chyba w poczuciu tworzenia własnej odrębnej ortodoksji, następnie jednak porzucanie tych znaczeń i (mniej lub bardziej zręczne) „prześlizgiwanie się” w znaczenia „nieoficjalne”, ba – w znaczenia nieraz z tamtymi całkiem niezgodne, nawet je podważające i osłabiające, w istocie więc „wywrotowe”. Irytowało Mokrzyckiego poza tym i to, że te – jak mówił z angielska – *mores* i *countermores* (czyli językowe zwyczaje i „przeciwwzyczaje”, praktyki „oficjalne” i odstępstwa od nich) są we wspólnotach dyskursu w humanistyce, w tym w socjologii, po prostu tolerowane. Rozwahał to na przykładzie terminu „wskaźnik” – brał pod uwagę jego trochę napuszone definicje, „bardzo metodologicznie poprawne” oraz zupełnie pragmatyczne, luźne posługiwanie się jego różnymi znaczeniami sprawiające, że w wywodach „przechodzi się niepostrzeżenie od jednego [znaczenia] do drugiego”²⁹.

W części analizowanych przez niego sytuacji dochodziło z pewnością do tego, co nazywa się redefiniowaniem. Można teraz jednak dodać: było to redefiniowanie praktykowane „po cichutku”, może nawet niezauważone przez samych badaczy, ledwie (choć jednak!) dostrzegalne dla wnikliwych, krytycznych komentatorów. Pojawiały się zatem w tych sytuacjach – to moja skromna terminologiczna propozycja – ciche redefinicje. Pojawiały się

²⁸ E. Mokrzycki, *Założenia socjologii humanistycznej*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1971, s. 77–79.

²⁹ Tamże, s. 79.

zaś, ponieważ, o czym się w tamtych czasach głośno nie mówiło, „oficjalne” definicje wielu terminów, a terminów metodologicznych w szczególności, formułowane w stylu „pozytywistycznym”, bywały nierealistycznie restrykcyjne: zbyt wiele wymagały, nie dawały pola manewru, przesadzały z rygoryzmem. Ciche redefinicje – to był (i wciąż jest) sposób na ich obejście, prosta recepta na wyzwolenie się z ich gorsetu. Może także (wtedy) przecucie nowych wiatrów w humanistyce lub (dzisiaj) zderzanie z nimi – coraz poważniej traktowanych i coraz popularniejszych – strategii pojęciowego uwrażliwienia.

Cichym redefinicjom sprzyjać mogło wtedy i sprzyjać może też dzisiaj coś jeszcze: mniej lub bardziej świadome szukanie „innych światów”. Bo chociaż wspólnota naukowa podsuwa horyzont poznawczy i nadaje badawczą tożsamość, to przecież – pomagają w tym wszelkie naukowe kontakty i samodzielne lektury – nie separując całkiem od „innych światów”, musi liczyć się z tym, iż jej naukowa „ortodoksja” zderzać się będzie z obcymi „ortodoksjami”, w tym zderzeniu zaś nawet i kruszyć, ulegać podmywaniu i erozji. Obecny także w nauce „etnocentryzm plemienny” nie zawsze ponadto jest w stanie zahamować poszerzanie się kręgu „swoich”, tak zresztą jak liczyć się musi i z jego zwężaniem. Gdy krąg „swoich” się rozszerza, gdy badacze przybywają do „naszej” wspólnoty z różnych innych naukowych wspólnot lub gdy „nasza” wspólnota wchodzi z innymi wspólnotami w strategiczne alianse, przepływają też idee, gromadzą się punkty widzenia, ścierają – mimo podobieństwa i bliskości horyzontów – definicje kluczowych pojęć, kryjące się za nimi bazowe metafory, ideały naukowości, zasady badawczej etyki itd.

Definiowanie i redefiniowanie ma często, jak z tego wynika, charakter pewnego aktu kulturowego – gestu przynależności do „swoich”, lecz nierzadko również, jako ciche redefiniowanie, gestu przygarniania „obcości”, może też buntowniczej nielojalności i kontestacji. Najprościej byłoby oczywiście – tak chyba czyni Mokrzycki – zwalić całą winę na bezmyślność lub bez troskę badaczy, na ich, wbrew deklaracjom metodologicznej krzepy, słabość – zadyszkę, wyczuwaną przy dokładniejszej, niepowierzchowej obserwacji dłuższego naukowego biegu, jakim jest już każdy większy tekst zawierający analizy pojęciowe.

Kiedy Mokrzycki występował ze swoją krytyką, zwłaszcza w tekstach opartych na badaniach własnych dominował, co warto przypomnieć, pewien pisarski schemat: podział na część „teoretyczną” i część „empiryczną”. To w tej pierwszej należało, zaraz po zarysowaniu problematyki i przeglądzie faktów istotnych z jej punktu widzenia, zaraz też po przeglądzie literatury, który tę problematykę i te fakty przybliżał, przedstawić właśnie „aparat pojęciowy”, najlepiej w postaci zgrabnych, a więc odpowiadających logicznemu kanonowi, definicji. Nie było to oczekiwanie niczym nieuzasadnione. Sekwencja rozdziałów i paragrafów odsłaniających jedną po drugiej myśli autora, a następnie ukazujących jego – w ramach przyjętej koncepcji – empiryczne osiągnięcia, miała przynajmniej z grubsza odpowiadać sekwencji podjętych wcześniej przez niego kroków badawczych, miała być z jego przedsięwzięcia badawczego „sprawozdaniem”, „raportem”. Prostą odpowiedniość tekstu tworzonego po badaniu i przebiegu samego badania zapewniało przy tym charakterystyczne wyobrażenie o badawczej koncepcji jako podstawie projektu badań. Jan Lutyński pisząc o koncepcji badawczej nie przyjmował wprawdzie, że jej – po kolei wymieniane przez niego – składniki przekładają się wprost na etapy czy fazy postępowania badawczego, wyraźnie też odróżniał „początkową, pierwotną koncepcję badań od zrealizowanej”³⁰, o aparacie pojęciowym wspominał jednak tuż po wskazaniu na problematykę badań, a przed kilkoma innymi jeszcze składnikami, w tym przed „sposobem prezentacji wniosków z badań”³¹. W szczegółowym omówieniu tego składnika, zwanego też u niego aparaturą pojęciową, pojawia się istotna myśl, iż chodzi o proces jego precyzowania³². U innych autorów metodologiczna charakterystyka koncepcji badawczej (nie zawsze z tą nazwą) odwołuje się zwykle najpierw do ogólnego schematu poznania naukowego, potem zaś wypełnia się – jak u Jerzego Brzezińskiego – prezentacją etapów postępowania badawczego. W jednym ze swoich pierwszych podręczników, wspierając się powszechnymi wówczas ujęciami, pisał on:

³⁰ J. Lutyński, *Metody badań społecznych. Wybrane zagadnienia*, pod red. K. Lutyńskiej, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1994, s. 79.

³¹ Tamże, s. 79–80.

³² Tamże, s. 90 oraz 99.

Postępowanie badawcze przebiega według określonych z góry etapów, kroków, czy faz, które charakteryzuje to, że stanowią pewną zamkniętą całość wyodrębniającą się na tle całego procesu badawczego³³.

W tym procesie na samym początku rozpoznaje się podejmowany problem naukowy, potem zaś buduje – przeznaczony do konfrontacji z rzeczywistością – model teoretyczny, obejmujący podstawowe pojęcia (i odpowiadające im zmienne, czyli właściwości badanych obiektów) oraz (w domyśle) ich definicje (przewiduje się zatem również dla terminów teoretycznych sposoby ich operacjonalizacji)³⁴. Dobitnie i wyjątkowo stanowczo postawił sprawę kolejności zadań badawczych Stefan Nowak:

Dopiero kiedy naprawdę wiemy, jakie zjawiska nas interesują (czyli uprzednio zdefiniowaliśmy w sposób możliwie jednoznaczny odpowiednie pojęcia naszych pytań i hipotez) i jakiego rodzaju relacje między nimi chcielibyśmy ustalić w badaniach, możemy przystąpić do przekształcenia naszej problematyki w program badań – do doboru metod, narzędzi badawczych, „wskaźników” interesujących nas zjawisk itd. Nigdy odwrotnie³⁵.

Ujęciu temu przyświecało – u niego i innych – postrzeganie związku między teorią a badaniami podporządkowane logice „tradycyjnego” modelu nauki, a zatem raczej metodzie dedukcyjnej niż indukcyjnej³⁶. Symptomatyczne, że właśnie metodzie dedukcyjnej przypisywano (i przypisuje się nadal) „naukowość”: metoda ta, „ze względu na to, że kładzie nacisk na hipotezę, przewidywania i test, zaliczana jest do metod *par excellence* naukowych”³⁷.

Rozprzestrzenienie się w naukach społecznych w ostatnich dziesięcioleciach metody indukcyjnej związane jest przede wszystkim z „odkryciem” przez Barneya G. Glasera i Anselma L. Straussa teorii ugruntowanej i jej

³³ J. Brzeziński, *Elementy metodologii badań psychologicznych*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1978, s. 10.

³⁴ Tamże, s. 22–26, 29–34.

³⁵ S. Nowak, *Metodologia badań społecznych*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1985, s. 48.

³⁶ Tak tę opozycję opisuje na przykład Earl Babbie w pracy *Badania społeczne w praktyce*, tłum. W. Betkiewicz, M. Bucholc, P. Gadomski, J. Haman, A. Jasiewicz-Betkiewicz, A. Kloskowska–Dudzińska, M. Kowalski, M. Mozga, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2003, s. 67–81.

³⁷ Hasło dedukcja, dedukcyjny, tłum. J. Konieczna, [w:] *Słownik socjologii i nauk społecznych*, pod red. G. Marshalla, z red. naukową polskiego wydania M. Tabina, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2004, s. 46.

metodologią (żartobliwie, lecz z szacunkiem nawiązując do ich idei „odkrywania” takiej teorii w badaniu społecznym). O niej tak pisze Krzysztof Tomasz Konecki:

Metodologia teorii ugruntowanej była próbą przeciwstawienia się tradycyjnym, akademickim metodom budowania teorii („konstrukcjom zza biurka”). Tak zbudowane teorie, na przykład „systemu społecznego”, „imperatywizmu funkcjonalnego” czy „społecznego działania”, zwykle nie są ugruntowane w wielu porównywalnych ze sobą obszarach empirycznych. Założenia logiczne wydedukowanych teorii mają na ogół wątpliwe i trudne do operacjonalizacji bądź zrozumienia odniesienia empiryczne. Teoria ugruntowana będąca przeważnie „teorią średniego zasięgu” jest łatwa do zoperacjonalizowania, jej pojęcia bowiem wywodzą się z obserwacji i opisu ściśle wyodrębnionych obszarów empirycznych. Metodologia ta dodaje odwagi etnografom, badaczom wielu pojedynczych przypadków, by nie bali się uogólniania i analizy teoretycznej³⁸.

6

Na tym tle wyróżnię teraz dwie strategie konceptualne – o pierwszej strategii chcę mówić, iż jest nastawiona na pojęciową precyzję, o drugiej zaś, że stawia na pojęciowe uwrażliwienie. Zasadnicza intencja odróżniania tych strategii jest bowiem taka:

- strategia nastawiona na precyzję to strategia uwypuklająca definiowanie i eksplikowanie, walkę z mętnością, czyli nieostrością i niewyraźnością wyrażen, kasowanie ich wieloznaczności, zarazem więc – mówiąc w skrócie – zamykanie sensów w jak najdokładniej określonych słowach i ich objaśnieniach,
- strategia nastawiona na uwrażliwienie gotowa jest rezygnować z precyzującego definiowania i eksplikowania, a jeśli już wspomina o nich, to wystarcza jej ich szkicowość, ponieważ nie chce zamykać, lecz otwierać przestrzenie znaczeń; z tego powodu nie razi jej wieloznaczność, chyba że jest ona przyczyną całkowitego zamętu i bałaganu.

³⁸ K. T. Konecki, *Wprowadzenie do wydania polskiego: Teoretyzowanie w socjologii – czyli o odkrywaniu i konstruowaniu teorii na podstawie analizy danych empirycznych*, [w:] B. G. Glaser, A. L. Strauss, *Odkrywanie teorii ugruntowanej*, tłum. M. Gorzko, Zakład Wydawniczy Nomos, Kraków 2009, s. XII.

Sądzę, że dyskurs badawczych wspólnot w humanistyce obie strategie, jak kiedyś, tak i dziś jeszcze, uznaje. Sądzę zatem, że współwystępują w nim one – przeciwstawiają się sobie, a jednocześnie dialektycznie dopełniają. Niektóre wspólnoty badawcze i ich paradygmaty kładą co prawda nacisk na jedną bądź drugą strategię, ważność jednej życzliwie uwypuklają, podczas gdy drugą chcą skompromitować, ale zupełnie pozbyć się tej drugiej nie są chyba w stanie. Bo gdy trzeba coś wyjaśnić, poręczniejsza jest strategia precyzji, nie lubiąca żadnych „kół”, a szczególnie tępiąca błędne koła w definiowaniu i wyjaśnianiu. Gdy jednak chodzi o zrozumienie czegoś, użytek robi się ze strategii uwrażliwienia, zalecającej poruszanie się po kole, które ma wzbogacać pojmowanie, a więc po kole przyjmującym raczej kształt spirali³⁹.

Te bardzo wstępne intuicje spróbuję teraz dopełnić paroma metodologicznymi uwagami dotyczącymi strategii pojęciowego uwrażliwienia.

Pierwsza z nich odnosi się do pojęć uwrażliwiających (zwanych też uczulającymi), przeciwstawianych pojęciom rozstrzygającym (znanym u nas, dzięki nienajlepszemu przekładowi książki Martyna Hammersleya i Paula Atkinsona, również jako pojęcia definicyjne⁴⁰).

Jeden z „odkrywców” teorii ugruntowanej, Anselm L. Strauss, napisał „we wstępnej części *Mirrors and Masks*, że czytelnicy nie powinni być zaskoczeni tym, iż nie znajdują w książce definicji tożsamości jednostki. Narzucanie

³⁹ W związku ze sprawą kolistości definicji budowanych na gruncie pierwszej z tych strategii pociechę znaleźć można u Russella L. Ackoffa w jego – napisanej przy współpracy S. K. Gup-ty i J. S. Minasa – pracy *Decyzje optymalne w badaniach stosowanych*, tłum. B. Walentynowicz przy współpracy B. Osuchowskiej i T. Sapińskiego, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1969, s. 216. Tak wypowiada się on bowiem o możliwości „zamiany” koła na spiralę (wyróżnienie w oryginale):

Jeśli zamknęło się pełne koło, jesteśmy powyżej naszego punktu wyjścia i uzyskaliśmy bogatsze i dokładniejsze znaczenie niż to, które było na początku. W gruncie rzeczy, gdy definiujemy pewne pojęcie, definicja ta naświeśla także pojęcia, od których ono zależy, jak również i pojęcia, które zależą od niego”.

Można się także nieco uspokoić przywołując znane pojęcie fortunnego koła, w takich słowach objaśnione przez Simona Blackburna w haśle *Fortunne koło*, tłum. P. Dziiliński, [w:] tegoż, *dz. cyt.*, s. 128 (wyróżnienie w oryginale):

O kolistej definicji (...) mówimy, że zawiera fortunne koło, jeżeli owa kolistość nie ma znaczenia dla celów, o które nam w danym wypadku chodzi. Np. w definicji: „x jest nudne wtedy i tylko wtedy, gdy x wydaje się nudne większości ludzi w standardowych warunkach”, termin „nudne” pojawia się wprawdzie w definicji, lecz mimo to definicja ta może być w pewnym ograniczonym stopniu użyteczna – zależnie od celów, do których się ją stosuje.

⁴⁰ M. Hammersley, P. Atkinson, *Metody badań terenowych*, tłum. S. Dymczyk, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2000, s. 217–218.

perspektywy teoretycznej na ten heterogeniczny obszar refleksji (należy pamiętać, iż jest on również domeną psychiatrów i psychologów) byłoby w tej sytuacji, jego zdaniem, przedwczesne” – tłumaczy Zbigniew Bokszański⁴¹. I natychmiast dodaje:

Można zapytać w tym miejscu, czy nie jest zbyt trudnym utrudnieniem bądź nawet przejawem ekstrawagancji posługiwanie się pojęciem, którego się rozmyślnie wyrażnie nie definiuje. Strauss zdaje się na takie pytanie odpowiadać eksponując przede wszystkim własne trudności natury teoretycznej. Trudności owe wywołane były tym, iż zawsze wtedy, gdy pragnął myśleć o przebiegu interakcji w kategoriach tradycyjnych koncepcji (roli, statusu czy grupy odniesienia), doznawał czegoś w rodzaju „częściowego paraliżu”, spowodowanego niemożnością dotarcia do ważnej, być może podstawowej sfery zjawisk. Koncepcja tożsamości z jej niedookreśleniem, brakiem ustalonego zakresu miała w intencjach Straussa posłużyć do pełniejszego zdania sprawy z zasad właściwych dynamice przebiegów interakcyjnych oraz udziału w nich aktora społecznego. Strauss powiada dalej, iż rozmyślnie wybrał niejednoznacznie definiowalną o rozmytych zasadach stosowania koncepcję po to, aby „lepiej rozejrzeć się w zagadnieniu, docierając do krańców problematyki i mieć większą szansę na uniknięcie ześlizgnięcia się w utarte koleiny myśli innych autorów zajmujących się tą dziedziną” (...).

Ta orientacja metodologiczna przejawiająca się w specyficznym podejściu do pojęć wykorzystywanych w pracy teoretycznej, ściślej biorąc w kryteriach, którym mają one odpowiadać jako pojęcia refleksji naukowej, znajduje chyba swoją podbudowę w koncepcji (...) opracowanej przez H. Blumera. Autor ten (...) przeciwstawiał „pojęciom rozstrzygającym” (*definitive concepts*), pojęcia „uczulające” (*sensitizing concepts*). Te pierwsze dostarczają rygorystycznych nakazów tego, co obserwować. Te drugie zaś sugerują pewne kierunki obserwacji, którą ma podjąć badacz (...) ⁴².

Strategia metodologiczna zalecająca stosowanie pojęć uczulających, czyli uwrażliwiających, wypracowana została ze świadomością, iż wprowadza się nią istotne zakłócenie, że przyjmując ją burzy się podstawy podejścia „tradycyjnego”, że się je swoją badawczą praktyką w istocie odrzuca i idzie drogą inną niż ta, którą wytyczała przez lata strategia pojęciowej precyzji. Pytanie Bokszańskiego, czy nie chodzi tu wobec tego o pewną ekstrawagancję, pokazuje zakres tolerancji, jaką metodolodzy „tradycjoniści” gotowi byli i są wobec niej okazać. Wystarczy zajrzeć do niedawno u nas wydanej

⁴¹ Z. Bokszański, *Tożsamość. Interakcja. Grupa. Tożsamość jednostki w perspektywie teorii socjologicznej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1989, s. 125 (wyróżnienie w oryginale).

⁴² Tamże (wyróżnienie w oryginale).

książki Paula Willisa, by przekonać się, że ten zakres nie jest szeroki, albo że „tradycjoniści” jak nie tolerowali, tak i wciąż nie tolerują tej strategii.

W *Przedmowie do Wyobraźni etnograficznej* Willis mówi wprawdzie, iż dostarcza – w *Przedmowie* właśnie – „mapy oraz kilku drogowskazów i definicji” pomocnych w czytaniu całości, to jednak, tak naprawdę, za pomocą żadnych definicji nie objaśnia, czym jest tytułowa wyobraźnia etnograficzna. Dlaczego tak postępuje?

Po części – tłumaczy tam Willis najpierw – trudność zdefiniowania tego, co uważam za wyobraźnię etnograficzną oraz jej ujęcia w tej książce, polega na tym, że zasadniczo rzecz biorąc, powstrzymuję się od precyzyjnych i dokładnych definicji pojęć. Nauki społeczne nie są dla mnie porównywalne z naukami przyrodniczymi (czy też ich dawniejszą wersją), które wymagają precyzji umożliwiającej obiektywne odzwierciedlenie i oddzielają od siebie elementy przyrody z jak największą dokładnością, by określić wzorzec łączących je związków i odkryć niezmiennie prawa rządzące ruchem atomów. Przedstawiciele nauk społecznych, jak mówi Blumer, mogą jedynie mieć nadzieję, że na temat świata społecznego uda im się rozwinąć „pojęcia uwrażliwiające”, przybliżone koncepcje, które zawsze będą prymitywnym i prowizorycznym przewodnikiem po złożonej i zmiennej rzeczywistości. Koncepcje nauk społecznych muszą być płynne, także dlatego, że przedmiot, którym się zajmują, składa się przynajmniej po części z poglądów i myśli działających podmiotów, czyli badanych, którzy stosują własne „pojęcia uwrażliwiające”. Choć w sposób o wiele bardziej nieformalny, próbują oni zrozumieć na swój własny użytek świat, w którym przyszło im działać. Atomy myślące o własnej kondycji! Nawet przy pewnym zdeterminowaniu z zewnątrz⁴³.

Szczególnie wymowne staje się jednak to, co wcześniej i nieco później pisze Willis – w tonie gorzkiej ironii, choć przecież nie bez dumy – o swojej, jak ją określa, eksperymentalnej i amatorskiej metodologii teoretycznej, a także o sobie jako akademickim wandalu i barbarzyńcy. Czy nie chodzi wszak o to, że jest to metodologia niepolecana przez jego naukową wspólnotę dyskursu lub w ogóle przez nią nieakceptowana?

Można by powiedzieć, że próbuję w tej książce naszkicować pewną eksperymentalną, amatorską metodologię teoretyczną. Wyobraźmy sobie, że jestem rodzajem akademickiego wandalu, który stara się popełniać czyny barbarzyńskie w sposób jak najprzyjemniejszy dla otoczenia i zdyscyplinowany. Podejmuję pewne pomysły, rozwijam je lub wymyślam nowe (pozostając zanurzony w danych), a następnie, na zasadzie „co się stanie, jeżeli...?”, ciskam nimi w dane etnograficzne – realny,

⁴³ P. Willis, *Wyobraźnia etnograficzna*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2005, s. 12.

namacalny świat, nieuporządkowaną codzienność – by zobaczyć, jakie analityczne konsekwencje wynikną po drugiej stronie, potem je zebrać, podrasować i znowu cisnąć nimi w materiał. W wielu wypadkach problem z danymi empirycznymi, przedstawionymi w sposób empiryczny, polega na tym, że bywają one płaską i nieciekawą dokumentacją szczegółu, pozbawioną związku z bieżącymi pilnymi problemami. Z drugiej natomiast strony „wielkie idee” są puste, nie ma w nich ludzi, uczuć ani doświadczeń. Według mnie dobrze osadzona w rzeczywistości analiza, która rzuca światło na zagadnienia, wypływa jedynie ze związku stworzonego między pojęciami a nieuporządkowaniem zwykłego życia, które zostało w taki czy inny sposób utrwalone. (...) należy dokonać eksperymentu, zmuszając dane do kontaktu z zewnętrznymi wobec nich pojęciami, wybranymi przypadkowo lub pod wpływem jakiegoś pomysłu, próbując zapewnić ujęciu całości konieczną złożoność i dostarczyć analitycznych i rzucających światło ujęć, niebędących jedynie pochodną badań terenowych – ujęć kluczowych dla konceptualizacji istniejących w terenie związków. Oczywiście, kiedy ciskamy pojęcia w dane, skutek jest nieprzewidywalny. Być może rezultatem będą jedynie akademickie skorupy, bezużyteczne kawałki w dziwacznych stertach. Jednak chodzi o to, by w „mojej opowieści” o „ich historii” ta ostatnia została ujęta w jak najpełniejszy konceptualnie sposób⁴⁴.

Druga metodologiczna uwaga, którą tu przedstawię, odnosi się do możliwości stosowania strategii pojęciowego uwrażliwienia w powiązaniu ze strategią pojęciowej precyzji. Jak słusznie zauważył Bokszański, strategia obrana przez Herberta Blumera rekomenduje pewną generalną postawę metodologiczną, taką więc, jak ta przyjęta przez Willisa. Nie całkiem zgadza się to z poglądem Martyna Hammersleya i Paula Atkinsona, którzy – przytoczywszy słowa samego Blumera – stwierdzają, że „pojęcia uwrażliwiające są doskonałym punktem wyjścia i początkiem procesu analizy, mogą też z powodzeniem pokierować dalszym gromadzeniem danych”⁴⁵. A co miałyby się dzieć z nimi potem?

Zapoznavanie się z zebrany materiał i tworzenie pojęć, które nadawałyby mu sens, to pierwsze etapy analizy etnograficznej. Bardzo często pojęcia wypracowane na samym początku okazują się stosunkowo banalne i dopiero później pojawiają się te o większym znaczeniu analitycznym. (...)

Po wypracowaniu konkretnych, analitycznych kategorii służących do porządkowania danych, do dalszej pracy należy wybrać te, które wydają się podstawowe dla przedmiotu analizy, zwracając szczególną uwagę na precyzowanie ich znaczenia i wyjaśnianie zależności w stosunku do innych kategorii⁴⁶.

⁴⁴ Tamże, s.11–12.

⁴⁵ M. Hammersley, P. Atkinson, *dz. cyt.*, s. 218.

⁴⁶ Tamże.

Nietrudno spostrzec, iż stosowanie pojęć uwrażliwiających jest tutaj wiązane głównie (choć zapewne nie wyłącznie) z wstępnymi etapami procesu badawczego. Nie jest wobec tego świadectwem postawy na swój sposób radykalnej, skoro badacz nie odżegnuje się w ogóle od używania strategii pojęciowej precyzji, lecz przeciwnie – odwołuje się do niej, tyle że w innych, późniejszych fazach badania. Takie podejście wydaje się już „tradycjonalistom” do przyjęcia. Bo rzeczywiście kryje się w nim sporo rozsądnego umiaru: postępowanie badawcze staje się (znana i lubiana to metafora) wędrówką, jeśli nawet mozolną i pełną wyrzeczeń, to jednak przybliżającą chyba w poznaniu do rzeczywistości, a przynajmniej dającą poczucie, że zdobywa się doskonalsze pojęciowe narzędzia „opanowania” (albo „konstrukcji”) świata społecznego i kultury. U początku wędrówki pojęcia uwrażliwiające przydają się jak reflektory – otwierają i rozświetlają horyzonty: zwracają na coś szczególniejszą uwagę, zapalają do myślenia na dany temat, to myślenie twórczo ułatwiają, podpowiadają drogi poszukiwania i rzucają na nie rozjaśniające iskry, a nawet całe snopy światła. Odsłaniają więc w porządkowaniu poznawczym kolejne wymiary, docierają z rozjaśniającą sugestią do głębszych pokładów naszego pojmowania świata. Wtedy też działają jak zwiększające wrażliwość obserwatorów i interpretatorów katalizatory – dzięki nim łatwiej świat wokół się wyczuwa i rozumie.

Tak przydatnymi pojęciami uwrażliwiającymi bywają pojęcia kluczowe dla pewnych dziedzin dyskursu w humanistyce, a nawet te dziedziny fundujące, leżące u ich założycielskich podstaw. Zalicza się do nich na przykład termin „religia”. Można bowiem przyjąć, że na początku procesu badania termin ten przede wszystkim poznawczo uczula, choć już pod koniec zostaje zastąpiony swoim „logicznym” odpowiednikiem – co do zakresu sprecyzowanym i co do znaczenia klarownym (dla niektórych zresztą dopiero wtedy zasługuje on na miano „terminu”, oczywiście „naukowego”). Jak twierdzi, podpierając się Immanuelem Kantem, Jacques’em Waardenburgiem i innymi, Andrzej Bronk, brak wyraźnej definicji religii w punkcie wyjścia badania religioznawczego nie musi stanowić istotnej przeszkody, by się nim efektywnie posługiwać:

Potrąfimy skutecznie posługiwać się słowami i odróżniać rzeczy, nie dysponując ich precyzyjnymi definicjami. Chodzi o znaną tezę Ludwiga Wittgensteina, że znaczenia słów można się nauczyć przez ich używanie w różnych sytuacjach. Praktycznie, w punkcie wyjścia swych badań religioznawca posługuje się załączkowym i wstęp-

nym rozumieniem (przedrozumieniem) religii, które zawdzięcza własnej kulturze i tradycji badawczej, dostarczającej mu heurystycznych narzędzi do identyfikowania określonych zjawisk w świecie jako religijne. Od tej prowizorycznej definicji religii zależy nie tylko to, co i jak będzie badać, ale również sens pozostałych terminów religioznawczych (...). Dalsze badania powinny doprowadzić do pełniejszej, wyrażniejszej i precyzyjniejszej definicji religii, która będzie ich owocem⁴⁷.

Przywołany przez Bronka przed chwilą Jacques Waardenburg gotów był wszakże zgodzić się z czymś więcej, skoro pisał, że „w badaniu religii jej zdefiniowanie nie jest absolutnie konieczne (...)”, jakkolwiek, pojawiając się w nim na początku, może przynieść w określonych sytuacjach „pewne korzyści”⁴⁸.

A oto trzecia kwestia metodologiczna, jaką chcę tutaj krótko poruszyć. Otóż strategii dążącej do pojęciowego uwrażliwienia nie należy mylić z deklaracją bezradności zwolennika strategii zmierzającej do logicznej precyzji pojęć. Nawet w ramach „tradycyjnych” rozważań metodologicznych mówi się o pojęciach wymykających się ścisłym definicjom, pełniących jednak rolę chwastów na porządnie uprawianym poletku humanistyki, z pewnością więc wymagających poddania skrupulatnej analizie logicznej. Niektóre z nich takimi chwastami, co logik z bólem serca stwierdza, wciąż pozostają, lecz wysiłki, by zmienić ten stan rzeczy, powinny być przecież, jego zdaniem, podejmowane bez ustanku. W bardziej skrajnych wersjach program usuwania chwastów oznacza w istocie zaaplikowanie humanistyce diety pojęciowej – rezygnację z wielu nieostrych i niewyraźnych wyrażań, gdy tymczasem jej siła – zdaniem przeciwników tego poglądu – tkwi właśnie w nieeliminującej, a przez to zapładniającej nasze myślenie i nasze poznawanie świata, akceptacji rozmycia i niedookreślenia pewnych pojedynczych pojęć czy bardziej rozbudowanych struktur konceptualnych (takich choćby jak uwrażliwiające typologie, szczególnie w zestawieniu ze „sztywnymi” klasyfikacjami, opartymi na prostych, zwłaszcza dychotomicznych, podziałach logicznych).

Inna sprawa, czy pojęcia uwrażliwiające stosowane w dyskursie wspólnoty naukowej padają na podatny grunt i rzeczywiście uwrażliwiają. Zdarza

⁴⁷ A. Bronk, *Podstawy nauk o religii*, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2003, s. 107–108.

⁴⁸ J. Waardenburg, *Religia i religie. Systematyczne wprowadzenie do religioznawstwa*, tłum. A. Bronk, Verbinum – Wydawnictwo Księży Werbistów, Warszawa 1991, s. 30.

się bowiem, że pojęcia, stosowane przez jednych z intencją uwrażliwiania, innych nie są w stanie zapłodnić ani „rozruszać”. Bywa też, że przed stosowaniem pewnych pojęć bronimy się: bo choć w istocie uwrażliwiają, to jednak uwrażliwiają, sprzeciwiając się jakimś innym naszym uwrażliwieniom, niekiedy nawet chcą ich działanie na naszą wyobraźnię ograniczyć i podporządkować sobie, chcą więc imperialistycznie nami zawładnąć i ograniczyć naszą swobodę. Zakrawa to bez mała na paradoks, gdy dotyczy pojęć, które mają przecież otwierać nasz horyzont. Czasem w tej sytuacji znajdują się pojęcia, które swoją zdolność uwrażliwiania w dyskursie zawdzięczają jawnej lub ukrytej metaforyzacji. Jeśli przyjmie się bardzo dziś popularną teorię George’a Lakoffa i Marka Johnsona, to metafora okaże się konceptualizacją jednej dziedziny w terminach innej dziedziny naszego poznania świata i naszej wiedzy o nim⁴⁹. Będzie metafora oznaczać jednocześnie, co podkreślają inni, „migrację pojęć” w celu zajęcia nowych terytoriów semantycznych. Metafora bywa bowiem tu i ówdzie owocem zuchwałego podboju, wyprawy opartej na śmiałym eksperymencie myślowym. Ci, którym ten eksperyment nie przypadł do gustu, mogą jednak pejoratywnie nazwać go pompą intuicji. Pompa intuicji to – jak objaśnia Simon Blackburn – eksperyment myślowy posługujący się „analogiami na pierwszy rzut oka uderzającymi, ale w gruncie rzeczy – wątpliwymi”⁵⁰, kwestionowana „metaforyczna” pompa intuicji musiałaby być zatem równie wątpliwą „projekcją sensu” z jednej dziedziny na inną dziedzinę. Najbardziej angażujące pod tym względem, z wielką siłą wciągające na nowe terytoria, są bodaj metafory określane jako kluczowe, główne (z całą oplatającą nasze myślenie siecią metafor podporządkowanych), podstawowe, a także rdzenne, czyli źródłowe, radykalne – wyłaniające ponoć ze sfery doświadczenia repertuar idei fundamentalnych, archetypowych. Rzecz w tym, iż takich metafor zazwyczaj się nie objaśnia, lecz się je po prostu stosuje. Albo się im zatem poddamy, albo pozostaniemy poza otwieranymi przez nie terytoriami sensu. Pozostaniemy, co gorsza, z gołymi rękami, to znaczy i bez zakładanego przez nie uwrażliwienia (gdyby o nie chodziło), i bez precyzyjnych definicji wchodzących w grę pojęć (gdyby nam na nich akurat zależało).

⁴⁹ G. Lakoff, M. Johnson, *Metafory w naszym życiu*, tłum. T. P. Krzeszowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, zwłaszcza s. 25–35, 81–85, 142–152.

⁵⁰ S. Blackburn, *Pompa intuicji*, tłum. P. Dziliński, [w:] tegoż, *dz. cyt.*, s. 299.

7

Dyskurs w humanistyce nie od dziś (chciałoby się przecież powiedzieć – choć to banał – że „od zawsze”) korzysta z definicji, a definiowanie uznaje za jedną z ważniejszych czynności ujmowania w języku sensu ważnych dla siebie terminów. Nie od dziś też refleksją metodologiczną obejmuje ich poprawność formalną, ze świadomością, iż humanistyka tworzy dla definicji, jak to ujął Tadeusz Pawłowski, „konteksty luźniejsze”. Definicje spotykane w humanistyce różnią się wszakże – pisał – „od definicji, jakie się formułuje w ramach ścisłej teorii naukowej, którą można przedstawić w postaci systemu dedukcyjnego”⁵¹. Poszerza (i poszerzał „od zawsze”) tę refleksję akcent na naukową użyteczność definicji. Zauważył więc Pawłowski, rozpoczynając poświęcone definicjom w humanistyce rozważania:

Dobra definicja jakiegoś pojęcia musi być formalnie poprawna; jednak spełnienie tego warunku nie wystarcza jeszcze do włączenia tej definicji w obręb nauki⁵².

A rozwijając je dodawał:

Niezbędne tu jest jeszcze spełnienie pewnych dodatkowych warunków, które spośród wielu możliwych formalnie poprawnych definicji jakiegoś terminu pozwalają wybrać pewną definicję jako dobrą⁵³.

Interesujące, że mówiąc o konieczności tego, by formalnie poprawna definicja jakiegoś pojęcia była ponadto naukowo użyteczna, nie szczędził Pawłowski słów krytyki stanowisku, które tak oto wyrażał:

Każdy termin można zdefiniować tak lub inaczej, ważne jest tylko, by poinformować, jaką definicję się przyjęło, i trzymać się jej potem konsekwentnie⁵⁴.

Jego pogląd nie przeciwstawiał się jednak przekonaniu, że jeśli jakąś definicję się w dyskursie przyjęło, to i trzymać się jej w nim należy. Z tym przekonaniem Pawłowski niechybnie by się zgodził, nie zgodziwszy się jedynie, by samo – takie lub inne, jak się komu żywnie podoba – zdefiniowanie

⁵¹ T. Pawłowski, *Tworzenie pojęć...*, s. 9.

⁵² Tamże, s. 7.

⁵³ Tamże, s. 78.

⁵⁴ Tamże, s. 77. Opis ten powtarza krytyczne rozpoznanie przedstawione przez Janinę Kotarbińską w tekście *Definicja*, [w:] *Logiczna teoria nauki. Wybór artykułów*, pod red. T. Pawłowskiego, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1966, s. 47.

danego terminu i powiadomienie o tym wystarczało do uznania definicji: do jej przyjęcia przez wspólnotę naukowego dyskursu, a zwłaszcza do jej ostania się w nim dłużej niż przez chwilę. W myśl tego stanowiska przedstawienie definicji nie było zresztą równoznaczne z jakąś obietnicą, a trzymanie się definicji tym bardziej nie wynikało z żadnego poważnego zobowiązania. Było zapewne jakąś „grą w konwencje”, może też trochę „sztuką dla sztuki”.

Kiedy dyskurs naukowej wspólnoty wykracza poza omawianie zagadnień formalnej poprawności i treściowej użyteczności, tworzy nurt refleksji moralnej. Towarzyszy wtedy ona refleksji metodologicznej, przemieniając wspólnotę dyskursu we wspólnotę etycznie świadomą, może wręcz – wypowiadam tu zapewne trudne do ziszczenia marzenie i tęsknotę – we wspólnotę moralną. Dyskurs w takiej wspólnocie oprócz czujności metodologicznej zaleca również czujność moralną, wierność danemu słowu wynosi do wartości tworzących etos uczonego i badacza humanisty. W etosie tym norma moralnej odpowiedzialności za słowo nie dotyczy wprawdzie wyłącznie definicji – bo są one naprawdę drobną częścią dyskursu wspólnot naukowych w humanistyce – lecz jest dla tego etosu, skojarzona jeszcze, jak u Marii Ossowskiej, z normą prawdomówności, bez mała fundamentem⁵⁵. Jeśli pytamy, jakich chcemy wychować badaczy humanistów, w odpowiedzi próbujemy zawsze dodawać: również odpowiedzialnych za słowo, przez to więc działających na rzecz własnych lokalnych wspólnot i humanistyki w ogóle.

BIBLIOGRAFIA

- Ackoff R. L., *Decyzje optymalne w badaniach stosowanych*, tłum. B. Walentynowicz przy współpracy B. Osuchowskiej i T. Sapińskiego, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1969.
- Babbie E., *Badania społeczne w praktyce*, tłum. W. Betkiewicz, M. Bucholc, P. Gadomski, J. Haman, A. Jasiewicz-Betkiewicz, A. Kloskowska-Dudzińska, M. Kowalski, M. Mozga, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2003.
- Barbour I. G., *Mity, modele, paradygmaty. Studium porównawcze nauk przyrodniczych i religii*, tłum. M. Krośniak, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1984.
- Bartmiński J., Tokarski R., *Definicja semantyczna: CZEGO i DLA KOGO?*, [w:] *O definicjach i definiowaniu*, pod red. J. Bartmińskiego, R. Tokarskiego, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1993.

⁵⁵ M. Ossowska, *Normy moralne. Próba systematyzacji*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1970, s. 124.

- Blackburn S., *Błąd koniecznej definicji*, tłum. M. Szczubiałka, [w:] Tegoż, *Oksfordzki słownik filozoficzny*, pod red. J. Woleńskiego, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Warszawa 1997.
- Blackburn S., *Fortunne koło*, tłum. P. Dziliński, [w:] Tegoż, *Oksfordzki słownik filozoficzny*, pod red. J. Woleńskiego, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Warszawa 1997.
- Blackburn S., *Pompa intuicji*, tłum. P. Dziliński, [w:] Tegoż, *Oksfordzki słownik filozoficzny*, pod red. J. Woleńskiego, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Warszawa 1997.
- Blackburn S., *Redefinicja zawężająca/poszerzająca*, tłum. P. Dziliński, [w:] Tegoż, *Oksfordzki słownik filozoficzny*, pod red. J. Woleńskiego, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Warszawa 1997.
- Bokszański Z., *Tożsamość. Interakcja. Grupa. Tożsamość jednostki w perspektywie teorii socjologicznej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1989.
- Bronk A., *Podstawy nauk o religii*, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2003.
- Brzeziński J., *Elementy metodologii badań psychologicznych*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1978.
- Czyżewski M., K. Dunin, A. Piotrowski, *Cudze problemy czyli wstęp do sepologii*, [w:] *Cudze problemy. O ważności tego, co nieważne. Analiza dyskursu publicznego w Polsce*, pod red. tychże, Ośrodek Badań Społecznych, Warszawa 1991.
- Elred z Rievaulx, *Przyjaźń duchowa*, tłum. M. Wylęgała OP, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2003.
- Falkenberg G., *Definicja i eksplikacja: Dwa rodzaje analizy językoznawczej*, tłum. P. Krzyżanowski, [w:] *O definicjach i definiowaniu*, pod red. J. Bartmińskiego, R. Tokarskiego, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1993.
- Gellner E., *Pojęcie pokrewieństwa i inne szkice o metodzie i wyjaśnianiu antropologicznym*, tłum. A. Bydłoń, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 1995.
- Giedymin J., *Językowe problemy klasyfikacji źródeł historycznych*, [w:] *Logiczna teoria nauki. Wybór artykułów*, pod red. T. Pawłowskiego, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1966.
- Grodziński E., *Zarys teorii nonsensu*, Ossolineum, Wrocław 1981.
- Grzegorzczkova R., *Wprowadzenie do semantyki językoznawczej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001.
- Hammersley M., Atkinson P., *Metody badań terenowych*, tłum. S. Dymczyk, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2000.
- Hołówka T., *Kultura logiczna w przykładach*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006.
- Konecki K. T., *Wprowadzenie do wydania polskiego: Teoretyzowanie w socjologii – czyli o odkrywaniu i konstruowaniu teorii na podstawie analizy danych empirycznych*, [w:] B. G. Glaser, A. L. Strauss, *Odkrywanie teorii ugruntowanej*, tłum. M. Gorzko, Zakład Wydawniczy Nomos, Kraków 2009.

- Kotarbińska J., *Definicja*, [w:] *Logiczna teoria nauki. Wybór artykułów*, pod red. T. Pawłowskiego, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1966.
- Krawczyk-Tyrpa A., *Tabu w dialektach polskich*, Wydawnictwo Akademii Bydgoskiej im. Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2001.
- Lakoff G., Johnson M., *Metafory w naszym życiu*, tłum. T. P. Krzeszowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988.
- Lutyński J., *Metody badań społecznych. Wybrane zagadnienia*, pod red. K. Lutyńskiej, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1994.
- Lyons J., *Semantyka*, tom 2, tłum. A. Weinsberg, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1989.
- Marody M., *Technologie intelektu. Językowe determinanty wiedzy potocznej i ludzkiego działania*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1987.
- Mokrzycki E., *Założenia socjologii humanistycznej*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1971.
- Nowak S., *Metodologia badań społecznych*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1985.
- Ossowska M., *Normy moralne. Próba systematyzacji*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1970.
- Pawłowski T., *Pojęcia i metody współczesnej humanistyki*, Ossolineum, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1977.
- Pawłowski T., *Tworzenie pojęć i definiowanie w naukach humanistycznych*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1978.
- Ricoeur P., *O sobie samym jako innym*, tłum. B. Chelstowski, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2003.
- *Słownik socjologii i nauk społecznych*, pod red. G. Marshalla, z red. naukową polskiego wydania M. Tabina, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2004.
- Topolski J., *Teoria wiedzy historycznej*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1983.
- Waardenburg J., *Religia i religie. Systematyczne wprowadzenie do religioznawstwa*, tłum. A. Bronk, Verbinum – Wydawnictwo Księży Werbistów, Warszawa 1991.
- Willis P., *Wyobrażenia etnograficzna*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2005.
- Żydek-Bednarczuk U., *Struktura tekstu rozmowy potocznej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 1994.

ON DEFINING IN THE HUMANITIES – BETWEEN RHETORIC AND ETHICS

In this article, I discuss defining as a cultural discursive act. From this perspective, defining, which is treated as an act of fixing or describing the meaning (often with the extension) of a given term or concept, discloses additionally its rhetorical aspect.

At the same time, such defining gains its moral importance: it becomes a promise, almost an obligation on the part of its creator that once a concept has been defined, the term will be used only in its own, strictly described meaning, and the idea it describes will be referred to in the discourse only by means of that term. Having established such a theoretical framework, I discuss the practices and rhetorical strategies typical of the contemporary humanities and their research communities which tend to either liberate these rigorous rules (by means of applying open or encrypted redefinitions), or to refuse to define them. The latter usually refers to terms and concepts basic for the discourse (for example because they approve of the idea of sensitizing the discourse, which is done by using expressions that do not have strict definitions).

Finally, I share my observation that once the discourse of a scientific community in the humanities steps outside the realms of logical accuracy of defining operations, it falls for the category of moral reflection. It is then supported by methodological reflection, where both of them change the discourse community into an ethically aware community, or the one which we could call moral community.